



JOHN
GRISHAM

THEODORE BOONE

ZBIEG

Rozdział 1

Choć latarnie uliczne w Strattenburgu wciąż się paliły, a na wschodzie nie widać było nawet śladu słonecznego blasku, parking przed gimnazjum buzował energią, gdy niemal stu siedemdziesięciu pięciu ośmioklasistów przybywało w samochodach osobowych i vanach prowadzonych przez zaspanych rodziców, gotowych pozbyć się swojej latorośli choć na kilka dni. Dzieciaki niewiele spały. Pakowały się cały wieczór, wierciły i przewracały w łózkach, a potem wstały na długo przed świtem; wzięły prysznic, dorzuciły coś do bagażu, obudziły rodziców, nalegając na szybkie śniadanie, i ogólnie były równie podekscytowane, jak pięciolatki czekające na Świętego Mikołaja. O szóstej rano, zgodnie z planem, zjawiły się wszystkie w szkole. Powitał je niesamowity widok czterech długich, smukłych, identycznych autokarów stojących w idealnym rzędzie; ich światła połyskiwały w mroku, a silniki pomrukiwały.

Wycieczka szkolna ośmioklasistów! Sześciogodzinna jazda do Waszyngtonu, by spędzić trzy i pół dnia na zwiedzaniu i cztery noce na dokazywaniu w wielopiętrowym hotelu. Uczniowie pracowali na to miesiącami – sprzedawali pączki w sobotnie poranki, myli tysiące samochodów, oczyszczali z odpadków przydrożne rowy i zanosili do skupu aluminiowe puszki, nagabywali kupców ze śródmieścia, którzy co roku coś wpłacali, sprzedawali ciasta z bakaliami, chodząc od drzwi do drzwi przed Bożym Narodzeniem, organizowali aukcje używanego sprzętu turystycznego, sprzedawali wypieki, rowery i książki i z entuzjazmem uczestniczyli w każdej imprezie dochodowej zaaprobowanej przez komitet wycieczkowy. Zyski trafiały do jednej kasy. Celem było uzbieranie dziesięciu tysięcy dolarów, co z pewnością nie wystarczyłoby na pokrycie wszystkich kosztów, ale pozwoliłoby zorganizować wycieczkę. W tym roku zebrali dwanaście tysięcy, co oznaczało, że każdy uczeń musiał jeszcze dopłacić sto dwadzieścia pięć dolarów.

Kilkorga nie było na to stać, lecz dyrekcja szkoły, zgodnie z długoletnią tradycją, dopilnowała, by nikt nie musiał zostać w domu. Do Waszyngtonu jechał każdy z ośmioklasistów – razem z nauczycielami i ośmiorgiem rodziców.

Theodore Boone bardzo się ucieszył, że jego matka nie zgłosiła się na ochotnika. Przedyskutowali to podczas kolacji. Ojciec wycofał się szybko, twierdząc – jak

zwykle – że ma za dużo pracy. Z początku matka Theo wydawała się zainteresowana udziałem w wycieczce, ale szybko uświadomiła sobie, że nie może jechać. Theo zajrzał do jej terminarza rozpraw i wiedział doskonale, że matka musi być w sądzie, podczas gdy on będzie się doskonale bawić w Waszyngtonie.

Kiedy stali w korku, siedział z przodu i głąskał po łbie swojego psa, Asesora, który usadowił się częściowo między przednimi siedzeniami, a częściowo na nogach pana. Asesor zajmował zwykle miejsce tam, gdzie chciał, i nikt z rodziny Boone'ów nie sprzeciwiał się temu.

– Cieszysz się? – spytał ojciec. To on odwoził syna, ponieważ matka postanowiła pospać sobie jeszcze godzinkę.

– Jasne – odparł Theo, starając się ukryć podniecenie. – Choć czeka nas długa podróż.

– Jestem pewien, że wszyscy zaśniecie, jak tylko wyjedziecie poza miasto. Omówiliśmy już zasady. Jakież pytania?

– Mówiliśmy o tym setki razy – odparł Theo, lekko zirytowany. Lubił rodziców. Byli trochę starsi niż rodzice jego kolegów, a do tego był jedynakiem, więc czasem sprawiali wrażenie zbyt opiekuńczych. Wkurzały go jednak niektóre rzeczy, na przykład ich przywiązanie do zasad. Wszystkie, bez względu na to, kto je ustalił, musiały być ściśle przestrzegane.

Domyślał się, z czego to wynika: oboje byli prawnikami.

– Wiem, wiem – powiedział ojciec. – Po prostu przestrzegaj zasad, słuchaj nauczycieli i nie zrób niczego głupiego. Pamiętasz, co się wydarzyło dwa lata temu?

Jak Theo, czy też każdy inny ośmioklasista, mógłby zapomnieć kiedykolwiek, co wydarzyło się dwa lata wcześniej? Dwa przygłupy – Jimbo Nance i Duck DeFoe – zrzuciły z czwartego piętra hotelu do wewnętrznego holu na dole balony wypełnione wodą. Nikt nie poniósł uszczerbku na zdrowiu, ale kilka osób zostało porządnie oblanych i wkurzyło się nie na żarty. Ktoś obu podkablował i rodzice chłopaków musieli jechać przez sześć godzin w środku zimy, żeby zabrać ich do domu. A potem znowu sześć godzin, z powrotem do Strattenburga. Jimbo twierdził, że droga bardzo się dłużyła. Zawieszono ich na tydzień, a szkołę poinformowano, żeby w przyszłości znalazła sobie inny hotel w Waszyngtonie. Ta nieszczęsna przygoda stała się krążącą po mieście legendą; służyła jako przestroga i narzędzie strachu w przypadku Theo i każdego ucznia, który wybierał się do Waszyngtonu.

W końcu zatrzymali się na parkingu. Chłopak pożegnał się z Asesorem i kazał mu zostać na przednim siedzeniu. Pan Boone otworzył tylne drzwi i wyjął bagaż syna – nylonową torbę podrózną, która nie powinna ważyć więcej niż dziesięć kilogramów. Wszystko, co powodowało przekroczenie tej normy (jedna z Wielkich

Zasad!), należało usunąć, a delikwent był zmuszony pojechać na wycieczkę bez ubrania na zmianę i szczoteczki do zębów. Theo nie przejmował się tym ani trochę. Jako skaut przetrwał tydzień w lesie, dysponując znacznie skromniejszym sprzętem.

Pan Mount stał obok autokaru z wagą, sprawdzając ciężar bagaży. Śmiał się i cieszył, równie podekscytowany jak jego uczniowie. Torba podróżna Theo ważyła trochę ponad dziewięć kilogramów, plecak tylko sześć, więc chłopak przeszedł sprawdzian z powodzeniem. Pan Mount upewnił się jeszcze, że w torbie jest dokument tożsamości, i powiedział Theo, żeby wsiadł do autokaru.

Theo uściskał ojcu dłoń, pożegnał się, zastygł na chwilę przerażony myślą, że ojciec zechce go objąć albo zrobić coś równie koszmarnego, po czym odechnął z ulgą, gdy pan Boone rzucił tylko:

– Baw się dobrze. I zadzwoń do matki.

Theo wgramolił się do autokaru.

Tuż obok dziewczęta żegnały się z matkami – obejmowały się, chlipały i zachowywały tak, jakby szły na wojnę i miały nigdy więcej nie wrócić do domu. Jednak twardziele przy autokarze, w którym jechali chłopcy, sztywnieli, chcąc jak najszybciej uwolnić się od rodziców i ograniczyć wzajemne kontakty do minimum.

Wraz ze wschodem słońca parking pustoszał. Punktualnie o siódmej autokary ruszyły spod szkoły. Był czwartek. Wielki dzień wreszcie nadszedł, a dzieciaki

były hałaśliwe i rozbrykane. Theo siedział obok Chase'a Whipple'a, przyjaciela, o którym mówiono, że jest „szalonym naukowcem”. Aby się nie zgubili i nie włączyli po niebezpiecznych ulicach Waszyngtonu, nauczyciele wprowadzili system partnerski. Przez następne cztery dni Theo miał towarzyszyć Chase'owi, a Chase jemu; od obu wymagano, by w każdym momencie wiedzieli, co robi ten drugi. Theo zdawał sobie sprawę, że przypadła mu w udziale znacznie trudniejsza rola, ponieważ Chase potrafił zgubić się nawet na terenie własnej szkoły. Trzeba będzie się wysilać, żeby go upilnować. Mieli dzielić pokój z Woodym Lambertem i Aaronem Nyquistem.

Kiedy autokary jechały pogrążonymi w ciszy ulicami, podekscytowani chłopcy rozmawiali. Nikt nikogo jeszcze nie walnął ani nie strącił nikomu czapki z głowy. Uprzedzono ich surowo, że należy zachowywać się właściwie, a pan Mount bacznie wszystkich obserwował. W pewnym momencie ktoś siedzący za Theo puścił bąka, i to głośno. Rozpleniło się to niczym zaraza i nim wyjechali poza granice Strattenburga, Theo żałował, że nie siedzi obok April Finnemore w autokarze jadącym z przodu.

Pan Mount uchylił okno. W końcu sytuacja się uspokoiła. Po trzydziestu minutach jazdy chłopcy spali albo byli pochłonięci gramami wideo.

Rozdział 2

Pokój Theo znajdował się na siódmym piętrze nowego hotelu przy Connecticut Avenue, około kilometra na północ od Białego Domu. Wszyscy czterej – on, Chase, Woody i Aaron – widzieli z okna górujący nad miastem Washington Monument. Plan wycieczki zakładał, że z samego rana w sobotę chłopcy wejdą na jego szczyt. Teraz jednak musieli zejść szybko na lunch, a potem mieli wyruszyć na zwiedzanie miasta.

Każdemu wolno było wybrać sobie coś z licznych atrakcji Waszyngtonu. Obejrzenie wszystkiego zabrałoby co najmniej rok, więc pan Mount i inni nauczyciele ułożyli listę, a uczniowie mogli wskazać to, co ich najbardziej interesuje.

April przekonała Theo, że powinni obejrzeć Teatr Forda, gdzie zastrzelono Abrahama Lincolna. Uznał to za ciekawy pomysł. Przekonał do niego Chase'a i po

lunchu zebrali się w holu hotelowym wraz z panem Babcockiem, nauczycielem historii, i grupą kilkunastu uczniów. Pan Babcock wyjaśnił, że nie pojedą autokarem, ponieważ ich grupa jest za mała, ale poznają dzięki temu system kolejki podziemnej Waszyngtonu. Spytał, czy ktoś z nich jechał kiedyś metrem. Rękę podniósł Theo i jeszcze trzy osoby.

Wyszli z hotelu i ruszyli gwarnym i zatłoczonym chodnikiem. Dzieciakom z małego miasta trudno było w pierwszej chwili oswoić się z dźwiękami i energią metropolii. Tyle budynków, tak wiele samochodów, które ledwie się poruszały zderzak w zderzak, tylu spieszących dokądś ludzi. Na stacji Woodley Park zjechali ruchomymi schodami, głęboko w podziemia miasta. Pan Babcock rozdał im plastikowe karty, dzięki którym mogli w ograniczonym zakresie korzystać z metra. Pociąg był zapelniony jedynie do połowy, czysty i szybki. Gdy mknął ciemnym tunelem, April poinformowała Theo szeptem, że jedzie metrem po raz pierwszy. Powiedział, że on jechał już w Nowym Jorku, kiedy rodzice zabrali go tam na wakacje. Tylko że metro w Nowym Jorku różniło się od tego w Waszyngtonie.

Gdy pociąg zatrzymał się po raz trzeci, zaledwie kilka minut po tym, jak do niego wsiedli, nadszedł czas, by wysiąść przy Metro Center. Pojechali czym prędzej schodami na górę, z powrotem na światło dnia. Pan Babcock doliczył się osiemnaściorga podopiecznych

i ruszyli przed siebie. Wkrótce dotarli do Dziesiątej Ulicy.

Nauczyciel zatrzymał grupę i wskazał stojący po drugiej stronie ładny budynek z czerwonej cegły, najwidoczniej z jakiegoś powodu ważny.

– To jest Teatr Forda, miejsce, w którym czternaście kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku zastrzelono prezydenta Lincolna. Pisaliście o tym prace i poświęciliście temu tematowi wiele czasu, wiecie więc, że właśnie skończyła się wojna secesyjna. W gruncie rzeczy generał Lee poddał się generałowi Grantowi zaledwie dwa dni wcześniej, w Appomattox Court House w Wirginii. W Waszyngtonie panował pogodny nastrój, wojna dobiegła wreszcie końca, zatem prezydent Lincoln i jego małżonka postanowili spędzić wieczór poza domem. Teatr Forda był największym i najwspanialszym tego rodzaju przybytkiem w mieście. Państwo Lincolnowie często przychodzili tu na koncerty i przedstawienia. W teatrze mieściło się wówczas dwa tysiące widzów, a spektakl *Nasz amerykański kuzyn* co wieczór miał komplet.

Przeszli kawałek i znów przystanęli.

– Cóż, wojna się skończyła – kontynuował nauczyciel historii – ale wielu ludzi uważało inaczej. Jednym z nich był konfederata, John Wilkes Booth, znany aktor. Sфотографował się nawet miesiąc wcześniej z Lincolnem, podczas inauguracji drugiej kadencji prezydenta. Booth był

wściekły, ponieważ Południe się poddało, i pragnął za wszelką cenę zrobić coś, by je wspomóc. Postanowił zabić prezydenta Lincolna. Był znany personelowi teatru, pozwolono mu więc zbliżyć się do łoża, gdzie siedzieli państwo Lincolnowie. Strzelił prezydentowi w tył głowy, raz, zeskoczył na scenę, złamał sobie nogę i uciekł tylnym wyjściem. – Pan Babcock odwrócił się i wskazał głową budynek tuż obok. – To jest Petersen House; w tamtym czasie był to pensjonat. Przyniesiono tu prezydenta Lincolna i przez całą noc lekarze go opatrywali. Wieść o tym, co się wydarzyło, szybko się rozniosła. Zebrał się tłum, a oddziały federalne musiały bronić dostępu do budynku. Prezydent Lincoln umarł tu rankiem piętnastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku.

Na tym wykład się skończył. Przeszli w końcu na drugą stronę ulicy i znaleźli się w Teatrze Forda.



Po dwóch godzinach Theo miał dość słuchania o zabójstwie prezydenta. Z pewnością było to ciekawe, no i w ogóle doceniał też znaczenie historyczne tego wydarzenia, ale przyszła pora, by zająć się czymś innym. Najbardziej niesamowita rzecz znajdowała się na dole, pod sceną, gdzie wystawiono prawdziwą broń użytą przez Bootha.

Było prawie wpół do piątej, kiedy wyszli na Dziesiątą Ulicę i ruszyli z powrotem w stronę Metro Center.

Ruch uliczny zgęstniał jeszcze bardziej, chodnikami sunęły tłumy. W metrze panował tłok; ludzie wracali po pracy do domów. Wydawało się, że pociąg jedzie znacznie wolniej. Theo stał pośrodku wagonu, w ścisku, tuż obok Chase'a i April, podczas gdy skład kołysał się i pobrząkiwał na torach. Theo rozglądał się po ponurych twarzach pasażerów; nikt się nie uśmiechał. Wszyscy wyglądali na zmęczonych. Nie bardzo wiedział, gdzie zamieszka, kiedy już dorośnie, ale nie sądził, by było to wielkie miasto. Wydawało się, że Strattenburg jest w sam raz. Ani za duży, ani za mały. Nie było tam korków na ulicach. Nie słyszało się gniewnych klaksonów. Chodniki nie były zatłoczone. Nie chciał jeździć do pracy i wracać do domu pociągiem.

Jakiś mężczyzna siedzący między dwiema kobietami opuścił gazetę, przewracając stronę. Od Theo dzieliły go niespełna trzy metry.

Wyglądał znajomo, dziwnie znajomo. Chłopak odechnął głęboko i zdołał się wcisnąć między dwóch mężczyzn tłoczących się wraz z innymi. Zbliżył się do siedzącego mężczyzny i teraz mógł się przyjrzeć jego twarzy.

Już ją widział, ale gdzie? Wydawała się trochę inna. Może włosy miały ciemniejszy odcień, może okulary były nowe. Nagle uderzyło go to jak obuchem: to była twarz Pete'a Duffy'ego.

Pete Duffy? Najbardziej poszukiwany człowiek w dziejach Strattenburga i hrabstwa Stratten. Numer sie-

dem na liście FBI. Mężczyzna, którego oskarżono o zamordowanie żony i który stanął przed sądem w Strattonburgu. Sędzią w procesie, śledzonym uważnie przez Theo i jego szkolnych kolegów, był Henry Gantry, który unieważnił proces z powodów proceduralnych i Duffy uniknął skazania. Uciekł z miasta w środku nocy i od tej pory słuch o nim zaginął.

Mężczyzna znów opuścił gazetę, chcąc przewrócić kolejną stronę. Rozejrzał się w chwili, gdy Theo schował się za innym pasażerem. Tuż po procesie wymienili spojrzenia.

Duffy miał teraz wąsy upstrzone siwizną. Jego twarz znów zniknęła za gazetą.

Theo był sparaliżowany niepewnością. Nie miał pojęcia, co robić. Pociąg się zatrzymał i wsiadło jeszcze więcej pasażerów. Stanął ponownie przy Dupont Circle. Następną stacją był Woodley Park. Duffy niczym nie okazywał, że zamierza wysiąść. W przeciwieństwie do innych ludzi w wagonie nie miał przy sobie teczek ani torby. Theo przeciskał się przez tłum, oddalając się trochę od kolegów ze szkoły. Chase jak zwykle błędził w innym świecie. April znajdowała się poza zasięgiem jego wzroku. Usłyszał, jak pan Babcock mówi uczniom, że zaraz wysiadają, i przesunął się jeszcze bardziej.

Pociąg zatrzymał się na stacji Woodley Park i drzwi się otworzyły. Podczas gdy uczniowie starali się za wszelką cenę wyjść z wagonu, ruszył ku nim tłum pasażerów na

peronie. W całym tym zamieszaniu nikt nie zauważył, że jeden z uczniów wciąż jest w środku. Drzwi się zamknęły i pociąg ruszył. Theo, nie spuszczać wzroku z Pete'a Duffy'ego, który chował się za gazetą, zapewne z przyzwyczajenia, przesłał Chase'owi wiadomość, że nie udało mu się wysiąść na czas, że wszystko w porządku i że złapie następny pociąg jadący w stronę Woodley Park. Kolega oddzwonił natychmiast, ale Theo miał wyciszoną komórkę. Pewien, że pan Babcock jest przerażony, postanowił zadzwonić za kilka minut.

Zaczął bawić się telefonem, jakby przesyłał wiadomości albo w coś grał. Miał włączoną kamerę i rozglądał się po wagonie – jeszcze jeden głupawy trzynastolatek popisujący się komórką. Pete Duffy siedział pięć metrów dalej, kryjąc się spokojnie za swoją gazetą. Theo cierpliwie czekał. W końcu, gdy pociąg zbliżał się do stacji Tenleystown, Duffy opuścił gazetę, złożył ją i wsunął sobie pod pachę, a chłopak przez pięć sekund go nagrywał. Zdołał nawet zrobić zbliżenie. Kiedy tamten spojrzał w jego stronę, Theo zachichotał, patrząc na komórkę, jakby właśnie zdobył punkt w jakiejś grze.

Duffy wysiadł przy Tenleystown, a Theo ruszył za nim. Mężczyzna szedł szybko, jak ktoś, kto się obawia, że jest bezustannie śledzony. Po kilku minutach chłopak zgubił go w tłumie. Zadzwonił do Chase'a, powiedział, że czeka na następny pociąg i że powinien być na miejscu za piętnaście minut.

Rozdział 3

Pan Babcock czekał na stacji Woodley Park i nie był zadowolony. Theo przeproszał, tłumacząc, że utknął w ścisku i po prostu nie zdołał wysiąść z wagonu. Nie podobało mu się, że musi uciekać się do kłamstw. Wiedział, że nie powinien tego robić, i zawsze starał się mówić prawdę. Od czasu do czasu jednak zdarzały się kłopotliwe sytuacje, gdy trzeba było trochę naginać fakty. Jadąc metrem, doszedł szybko do wniosku, że przydybanie Pete'a Duffy'ego jest najważniejsze, nawet jeśli z tego powodu nie wysiądzie tam, gdzie powinien. Gdyby wysiadł razem z kolegami, Duffy by zniknął, a szansa dorwania tego człowieka przepadłaby bezpowrotnie. Gdyby teraz przyznał się panu Babcockowi, że celowo został w pociągu, musiałby się zmierzyć z nieprzyjemnymi konsekwencjami. Nie mógł powiedzieć prawdy o Pecie Duffym – w każdym razie nie teraz – ponieważ nie miał po-

jęcia, co z tą prawdą zrobić. Potrzebował odrobiny czasu w samotności, żeby wszystko przemyśleć.

Musiał pogadać ze stryjem Ikiem.

Chwilowo jednak był zmuszony przeprosić nauczyciela historii, który sływał z nerwowości. Po powrocie do hotelu ten zaprowadził Theo do pana Mounta i zdał pełen raport z wyczynu jego ucznia. Gdy tylko pan Babcock się oddalił, Theo wymamrotał:

– Ten facet powinien wyluzować.

Pan Mount, który ufał Theo i wiedział, że jeśli jakiś dzieciak miałby przetrwać w wielkim mieście, to właśnie Theodore Boone, zgodził się z tą uwagą.

– Nie rób tego więcej, dobrze? – powiedział tylko. – Zwracaj uwagę na to, gdzie się akurat znajdujesz.

– Jasne – odparł Theo. Gdyby pan tylko wiedział...

Na kolację była pizza podana w sali balowej. Miejsce nie wyznaczano; każdy mógł siedzieć, gdzie chciał. Tak więc, tradycyjnie, chłopcy zajęli jedną stronę sali, a dziewczęta drugą. Theo poskubał trochę pizzę z wierzchu i popił wodą z butelki, ale nie myślał o jedzeniu. Był pewien, że widział Pete'a Duffy'ego. Pamiętał nawet chód tego człowieka, gdy ten wkraczał na salę sądową i opuszczał ją w trakcie procesu. Identyczny krok. Ten sam wzrost i budowa ciała. Zdecydowanie te same oczy, nos, czoło i podbródek. Theo zamknął się w łazience hotelowej i obejrzał nagranie na swoim telefonie z kilkanaście razy.

Znalazł Pete'a Duffy'ego! Wciąż nie mógł w to uwierzyć i nie bardzo wiedział, co robić dalej, ale w tym całym podnieceniu prawie zapomniał o czymś ważnym. Kiedy Duffy uciekł z miasta, policja wyznaczyła nagrodę w wysokości stu tysięcy dolarów za informację mogącą doprowadzić do jego aresztowania i skazania. W swoim pokoju, jeszcze przed kolacją, Theo zajrzał do internetu i sprawdził to. Na stronie komendy policji w Strattenburgu znalazł sporo na temat sprawy Duffy'ego. Było tam też kilka zbliżeń jego twarzy.



Korzystanie z komórek podczas posiłków było surowo zakazane – jeśli opiekun kogoś przyłapał, telefon natychmiast konfiskowano. Mniej więcej w połowie kolacji Theo poinformował pana Mounta, że musi pójść do toalety. Kiedy już się tam znalazł, zamknął się w jednej z kabin i zadzwonił do Ike'a.

– Wydawało mi się, że jesteś w Waszyngtonie – powiedział stryj.

– Jestem. Słuchaj, Ike, widziałem w metrze Pete'a Duffy'ego. Wiem, że to on.

– Myślałem, że przebywa w Kambodży albo w jakimś innym kraju.

– Nie. Jest tu, w Waszyngtonie. Nagrałem go na komórkę. Zaraz ci to prześlę. Przyjrzyj się, a ja zadzwonię do ciebie później.

– Mówisz poważnie, prawda? – upewnił się Ike, którego głos nabrał nagle ostrości.

– Śmiertelnie poważnie. Do usłyszenia.

Theo przesłał szybko nagranie stryjowi, wyszedł z toalety i wrócił czym prędzej do sali balowej.

Po kolacji, kiedy się ściemniło, ośmioklasiści załadowali się do czterech autokarów i ruszyli pod mauzoleum Lincolna. Po przybyciu na miejsce uczniowie kręcili się wokół słynnego posągu prezydenta, który siedział i spoglądał z powagą (czy ten facet uśmiechał się kiedykolwiek? – zastanawiał się Theo), trzymając dłonie na oparciach swego tronu. Oświetlenie rzucało cienie na jego oblicze i Theo uznał je za niesamowite. Pan Babcock, który był najwidoczniej wielbicielem Lincolna, ustawił z pomocą pracownika parku duży ekran u podnóża schodów – dokładnie pięćdziesiąt osiem stopni – a uczniowie zebrali się wokół niego, gotowi na krótki wykład. Słuchali w całkowitej ciszy, podczas gdy nauczyciel historii przytaczał najważniejsze wydarzenia z życia Lincolna; już przerabiali ten materiał w klasie, teraz jednak, kiedy siedzieli na schodach mauzoleum, wydawał się znacznie ciekawszy. Pan Babcock, nauczyciel oddany swemu powołaniu, pokazywał zdjęcia ilustrujące kolejne etapy w życiu prezydenta.

Choć uczniowie siedzieli na marmurowych stopniach, nie wiercili się i nie szeptali między sobą. Słuchali wykładu z dużym zainteresowaniem. Theo odwrócił wzrok

i jego oczom ukazał się niezwykle widok – Sadszawka Lustrzana. Za nią, półtora kilometra dalej, wznosił się Washington Monument, także skąpany w doskonałej iluminacji. A za nim, kolejne półtora kilometra dalej, był Kapitol, którego kopuła błyszczała okazale w nocnej ciemności. Theo znów się obrócił i zobaczył, że prezydent Lincoln patrzy na nich z góry.

Wiedział, że nigdy nie zapomni tej chwili.

Kiedy pan Babcock skończył, nagrodzili go brawami. Potem przyszła kolej na panią Greenwood, popularną Afroamerykankę, która uczyła dziewczęta angielskiego. Najpierw poprosiła, żeby uczniowie popatrzyli na Washington Monument i spróbowali wyobrazić sobie w tym miejscu ćwierć miliona ludzi. Dwudziestego ósmego sierpnia 1963 roku Afroamerykanie z całych Stanów Zjednoczonych ruszyli na Waszyngton, by domagać się sprawiedliwości i równości. Przewodził im młody pastor baptystyczny z Atlanty, doktor Martin Luther King.

Pani Greenwood wyświetlała jednocześnie obrazy na ekranie – zdjęcia tłumów zgromadzonych tego dnia, ludzi, którzy maszerowali i nieśli transparenty. Wyjaśniła, że doktor King, stojąc na prowizorycznym podium – pod dumnym spojrzeniem prezydenta, który położył kres niewolnictwu – wygłosił wówczas jedno z najsłynniejszych przemówień w historii Ameryki. Następnie puściła czarno-białe nagranie z przemówieniem Kinga, który opowiadał o swoim śnie.